Rozmaitości

DNIA 30. MAJA Ner 22. 1835 ROKU.

TROJE
WRÓŻEBNYCH NIEDZIEL.
Wyimek z papierów artysty.
(Ciąg dalszy.)

Oddawszy się myślom o szczęśliwszéj przyszłości, szedłem dosyć pokwapnie, i częścią dla łepszego ukrycia się pod przybraną maską, częścią z potrzeby wyżywienia się w podróży, żebrałem po drodze. Nie źle mi było w tym żebrackim stanie; dawał mi on nie tylko nocleg po stajniach i stodołach, ale i na pokarmie wcale mi nie zbywało; lecz co się tyczy pieniędzy, dopiérom je w miasteczku Ilantz piérwszy raz oglądał. Jakaś opasła mieszczanka, tocząc się ulicą, dała mi *solda* (pieniądz włoski) i kazała modlić się gorąco za duszę jéj nieboszczyka męża; przyjąłem dar ten jałmużny, i przyrzekłem pamiętać w modlitwach o nieboszczykostwie. Wkrótce potém pokłoniłem się jakiéjsić rubinami ukameryzowanéj twarzy, w czarnéj, długiéj szacie, która mię za żebractwo wyłajawszy, znowu kilką *soldami* opatrzyła. Będąc już dosyć natenraz bogatym, i widząc, że się dnia pora na zchyłku miała, zwróciłem do małéj gospody, a chcąc sobie wstęp wyjednać, pokazałem zaraz w progu miedzianą monetę. Wszedłszy do izby, prosiłem wymownémi gestami o słomę na pościel. Gospodyni, kobiéta litościwa, przyjęła mię chętnie; lecz jéj mąż, jak opoka twardy i wielki grubijanin, chciał mię za drzwi wytrącić; tu dopiéro poraz piérwszy uczułem trudność mojéj roli. Jakżebym rad był gospodarzowi dobrze uszu natrzeć, a gospodyni za jéj dobroć pięknie podziękować; lecz rola moja kazała mi milczeć. Usiadłem cierpliwie na ławce, i dla ogrzania się pomknąłem w bliz komina. Gospodarz ciskał się, i klął po francuzku, lecz gospodyni (Niemka) mało zważała na jego huzarskie pioruny, dała mi kawał chleba i talérz rosołu; mąż, będąc niewolnikiem królowéj domu, wyszedł mrucząc za drzwi. Gdy już lampy pozaświécano, zaczęli się i goście zbiérać, a między innymi wszedł jakiś niebezpiecznéj twarzy jegomość, który, skoro mię ujrzał, zaraz i śledztwo czynić zaczął. Piérwszy raz w życiu uczułem, jak nieznośną kreaturą jest szpieg natrętny, i jakto czasem jest dobrze być niemym. Człowiek ten mówił, jak na owéj wieży babilońskiéj, różnémi języki; brał na tortury romański, włoski i francuzki, ale dziśbym jeszcze przysiągł, że żadnego z nich wcale nie umiał. Dałem mu przez migi do zrozumienia, że jestem żebrakiem, i ze świętéj pielgrzymki do domu powracam. »Dokąd?« zapytał mię rabusznie; »do Chur, czy daléj?« Daléj, odpowiedziałem skinieniem. Na zapytanie: czy mam paszport i czy pisać umiém, odpowiedziałem zaprzeczającém poruszeniem głowy. Ledwom nie parsknął ze śmiéchu, gdy mię, po daremném usiłowaniu dowiedzenia się mojego nazwiska i miejsca urodzenia, zapytał: jak dawno niemy jestem? Byłbym się może wydał, gdyby mu w téj właśnie chwili gospodyni nie była flaszkę wina czerwonego postawiła; czém się tak bardzo udobruchał, że wszelkich dalszych badań zaniechał. Wkrótce przyłączył się do niego jakiś drugi, mały, żwawy, i dość przyzwoicie ubrany mężczyzna. Pili razem, i nim jeszcze minęła godzina, mój inkwizytor odszedł dobrze podchmielony. »Mógłbyś pan wykonać uczynek miłosierdzia,« rzekła gospodyni do tego, co pozostał, »gdybyś tego biédaka jutro do Chur chciał wziąć z sobą, dokąd w interesach

jechać musisz. Jest on ubogi i niemy, a droga w téj porze dla piechotnika przykra i trudna. Weź go pan na kozioł lub z tyłu swojego powozu; Bóg panu to nagrodzi.!« Gdym ja tajném skinieniem gospodyni dziękował, on zmierzył mię wzrokiem badawczém, i rzekł w te słowa: »Chłopak ten nie wygląda mi wcale pochlébnie, a w czasie wojny, nie jest bezpieczno wdawać się z żebrakami, których nie znamy. Z tém wszystkiém, jeżeli pani gospodyni mogę tém zrobić jaką przysługę, wezmę go; ale pod warunkiem, że skorobym tylko najmniejsze powziął podejrzenie, strącę go z wozu, chociażby i kark miał skręcić.« Teraz była kolej na mnie; zapewniałem go, żem był człowiekiem poczciwym, i że się dobrze sprawować będę. Za dalszém gospodyni naleganiem, przyrzekł mię wziąć nareszcie, i rozkazał stróżowi, aby mię skoro świt obudził. To rzekłszy odszedł, a ja położywszy się na słomie pod piecem, będąc mocno znużony, najsmaczniéj zasnąłem, i nieprędzéj się przebudziłem, aż mię ktoś za ramię silnie w górę podniosłszy, do wstania wezwał. Byłto mój łaskawca i towarzysz podróży; stał nade mną z latarnią w ręku. Przetarłem sobie oczy, a on rzekł: »Wstawajże leniuchu, toć jam raniejszy od ciebie i od gnuśnego stróża! Pójdź, napij się wódki i bądź dobréj myśli; może się w drodze bliżéj poznamy.« Ta serdeczna otwartość dodała mi odwagi; dziękowałem Bogu, żem przybył do Ilantz. Zebrałem się prędko, powyciągnąłem dźbła słomy z włosów, omyłem się przy studni i usiadłem z tyłu bryczki. Mój dobroczyńca sam powoził, i jeszcze za nocy wyjechaliśmy z miasta. Gdy się rozwidniło, obrócił się na swojéj ławce ku mnie, i jadąc patrzał mi kilka chwil w oczy; a nakoniec zapytał: »No, jak się tam siedzi?« starałem się migami okazać, że bardzo wyśmienicie; chociażem szczérze mówiąc, siedział nie najwygodniéj. »Nie rób ceremonii,« rzekł mi potém, »mów otwarcie; na cóż ukrywać przed tym, który to wié lepiéj; siedzisz tam, jak na torturach; przeléź i usiądź tu obok mnie.« Zdziwiony tą niespodziéwaną dla mnie grzecznością, usiadłem natychmiast koło niego, patrząc mu z zadumieniem w oczy. On się uśmiechnął i przygwizdując koniowi, dość długo milczał. »Wyznajże teraz,« rzekł do mnie, »że niemym nie jesteś. Wiém to z pewnością, i zaraz ci powiém, zkąd się o tém dowiedziałem: Gdym ospałego stróża obudził i kazał mu zaprządz konia do powozu, poszedłem i ciebie przebudzić; ale jakżem się zdziwił, gdym cię z samym sobą przez sen rozmawiającego usłyszał; zmieszałem się z razu, i jużem cię nie brać z sobą zamyślił, aleś właśnie w téjże chwili przez sen o swoich rodzicach i krewnych, jak dobre dziécię rozmawiać zaczął, i czasem o Tyrolu i o Francuzach wspomniał; zyskałeś serce moje; poznałem, żeś dobrym młodzieńcem, i zapewne od orszaku Hoffera zbiegłym; przedsięwziąłem sobie do dalszéj ucieczki być ci pomocnym; ale zasłuż nato, powiadam tobie! inaczéj w piérwszéj lepszéj wiosce wydam cię zwierzchności.« Widząc, żem się sam we śnie zdradził, wyznałem wszystko, prócz tego, żem na śmierć był skazanym. Na zapytanie: czegobym w Ilantz lub Chur szukał? odpowiedziałem, że myślę udać się do Foralbergu. Zaśmiał się na mój zamiar, i rzekł mi z litością: żem niepotrzebnie tyle kołował, że i w Foralbergu dla mnie równe niebezpieczeństwo, ponieważ i tam nieprzyjaciela pełno, i że w Szwajcaryi nie mniéj należy być ostrożnym, bo chociaż lud jest za Niemcami, jednakże władze, przez roztropność samę, muszą być na stronie Francuzów. To rzekłszy milczał długo, a jam zatonął w labirynt układów, życzeń i przedsięwzięć; a nie mogąc żadnéj znaleźć pociechy, zacząłem się oddawać rozpaczy. Zarazem mój sąsiad stał się znowu rozmownym, kazał mi być dobréj myśli, oświadczając, że w Chur zna pewną znakomitą osobę, do któréj właśnie w interesach budownictwa jedzie. Ta osoba jest pan znakomity, a przytém istotnie szlachetny, którego dobroci nie jeden już w czasach rewolucyi, nie tylko majątek i wolność, ale nawet honor i życie winien; nareszcie dodał, że mu opowié nędzę moję. Jeżeliby ten mąż zacny nie mógł mi dopomódz w téj chwili, będzie jednak mógł najlepszą dać mi radę. — Z nową nadzieją, i z nowym przyjacielem moim, który mię w drodze utrzymywał, przybyłem do Chur; schroniłem się do jednéj ciemnéj szynkowni, z któréj mię wieczorem dopiéro mój dobroczyńca wyprowadził i do pułkownika N. zawiózł. Przed współczesnémi nie wolno mi wymienić na-

zwiska tego zacnego męża, lecz szlachetne czyny jego są Bogu wiadome i będą w czasie promienną koroną cnotliwych uwieńczone!

Opowiedziałem pułkownikowi czystą i rzetelną prawdę, a widząc, że mu łzy w oczach stanęły, nie mogłem się równie od łez wstrzymać, i dałem im bieg wolny. Ta chwila, pokąd życia mego, będzie mi pamiętną. Byłto człowiek najlepszego serca, który zapewne sam wiele nieszczęść doświadczył, a wyczytawszy w oczach moich, że poczciwy byłem, litował się młodości mojéj. Zapytał mię uprzejmie, czegobym sobie życzył, i co dla mnie uczynić może. Ścisnąłem ramionami, i oddałem się jego roztropności, dobroci i łasce. »Nie wiém, rzekł potém, »czyli się wćpanu podoba, abyś zimę w moim wiejskim domu przepędził. Udam go za malarza, który dla ozdoby mojego zameczku rysunek układa. Tam wćpanu na niczém zbywać nie będzie, prócz towarzystwa, bez którego w obecném położeniu swojém obejść się możesz. Zastaniesz tam zbiór bardzo dobrych malowideł, z których kilka figur dla nauki moich synów przerysować raczysz. Tym sposobem w dwójnasób wywiązesz się za tę małą przysługę, którą ci wyświadczam, i nadto jeszcze wyjednasz sobie prawo do mojéj wdzięczności.« Zapłoniłem się ze wstydu, tém bardziéj, że czując delikatność tego postępowania, uczułem oraz moję niezdolność do uczynienia zadość takiemu znawcy. Wyznałem szczérze, że biegłość moja w malarstwie nader jest płytką, że w malarstwie wyższym tylko krajowidy, a nie historyczne przedmioty za cel méj nauki brałem. Ta naturalna otwartość moja, jeszcze bardziéj mię poczciwemu pułkownikowi zaleciła. Oświad zył mi powtórnie, że będzie miał o mnie staranie, dopóki, jak się wyraził, żółta gorączka w kraju nie ustanie. Jakoż istotnie był mi drugim ojcem. Z jego garderoby byłem ubrany, u jego stołu jadałem, aż mię nakoniec w swoim powozie, gdym się już z poczciwym budowniczym pożegnał, do swego wiejskiego zamku na mieszkanie zawiózł. Zima ukrywała mi wprawdzie piękność okolicy jego, lecz ileż piękności nie znalazłem w ścianach, w które przez pułkownika wprowadzony zostałem. Były tam malowidła jakich oko moje nigdy nie widziało; twory najpiérwszych mistrzów włoskiéj, niemieckiéj i francuzkiéj szkoły. Salvator Rosa, Claude Lorrain, Ostade, Filip Hakert i w. i. porywały przemocą urokami swemi, i zachwycały ducha najrozkoszniéj. Tu dopiéro po raz piérwszy z boleścią uczułem, jak mało umiałem, i nie mogłem pojąć, żem się w zawód takich jenijuszów puścić odważył. Z tém wszystkiém nie odstraszałem się bynajmniéj tą myślą, i owszem chęć pokuszenia się, aczby o cień takiéj sławy, przemogła moje zwątpienie o sobie; pracowałem usilnie, a prace moje, lubo liche, przecież wiele mię nauczyły; i jak się poźniéj okazało, na moje wydoskonalenie w Rzymie i Paryżu, wielki wpływ miały. Lecz wolę o tém zamilczéć, i wrócę do mego dobroczyńcy, który nie przestawał mię udarzać dobrocią swoją. — Żyjąc swobodnie w mojém zaciszu, obawiałem się pisać do moich rodziców; bo chociaż pokój był już zawarty, a jak mówiono, Austryja chciała się ściśle z cesarzem Francuzów połączyć; przecież położenie moje wymagało ostrożności jeszcze; bałem się powierzać list pocztom, aby nie odkryto miejsca pobytu mego. Gdy mi tedy roztropność lepszéj przyszłości oczekiwać kazała; przyjaźń dobroczynna uczyniła dla mnie to, czego ja sam uczynić nie śmiałem. Dnia jednego rano — w marcu 1810 — przyjechał pułkownik na wieś i oddał mi list, na który skoro rzuciłem okiem, poznałem rękę ojca mego. Wielka była moja radość, jednakże nie bez jakowegoś trwożnego przeczucia i obawy; drzącą ręką oderwałem pieczęć. Z tego listu dowiedziałem się, że rodzice moi mieli mię za umarłego, że matka moją śmiercią była niepocieszona, i że mój stary nauczyciel dla tego, że mię do téj nieszczęsnéj wędrówki namówił, czyni sobie najboleśniéjsze wyrzuty, i za duszę moję exekwije odprawić kazał; wyczytałem nakoniec, że siostra moja za mąż idzie, i że arcyksiężniczka Ludwika Napoleonowi zaślubiona. To wszystko mocno mię ucieszyło, ale był jeszcze nieszczęsny przypisek, który doniósł, iż brat mój Leopold, dał się do ochotników Schilla namówić, i że pod Dodendorf w niewolą wzięty, do Francyi odprowadzonym, i w mieście Brest uwięzionym został. W dodatek wzywał mię ojciec, abym dla naradzenia się, jakby nieszczęśliwego brata mego z tego nieszczęścia wydobyć, jak najprędzéj do domu wracał.

Byłto nowy cios dla mnie, nie mógłem się od łez wstrzymać. Pokazałem list pułkownikowi, ale ten już o wszystkiém wiedział. Litował się nad nieszczęściem brata mego i zasępiwszy czoło, kilkakroć powtórzył, że się nie bez powodu lęka, aby ochotnicy z pułku Schilla we Francyi daleko więcéj, a niżeli słuszność każe, nie ucierpieli. Po krótkiéj chwili milczenia zapytał mię, cobym czynić zamyślał: »Udać się natychmiast do domu,« odpowiedziałem, »chociażby mię tam śmierć czekać miała.« — »Jedź więc w Imię Boże!« odrzekł mi na to. »Okoliczności się polepszyły; spodziewam się, że ci od austryjackiego posła paszport uzyskam, a skoro go minister francuzki podpisze, podróż twoja nie dozna żadnéj przeszkody; tymczasem będę się starał dowiedzieć u poselstwa francuzkiego o losie brata wćpana, o czém ojcu donieść nie zaniedbam; a jeżeli w teraźniéjszym czasie pokoju między cesarzem Franciszkiem i Napoleonem, będzie co można dla nieszczęśliwego brata wćpana, jako poddanego austryjackiego uczynić, spodziewam się, iż mi na sposobności ku temu zbywać nie będzie.«

Wdzięczność moja wyrażała się łzami, pułkownik czytał ją w sercu mojém, i cieszył mię lepszą przyszłością. Przygotowanie do odjazdu nie trwało długo. Pułkownik opatrzył mię we wszystko, co mi tylko do podróży potrzebne było. Z mojéj strony, na znak serdecznéj wdzięczności, podałem mu z płaczem, jak ono dziécię, rysunki moje i prosiłem go, aby je na pamiątkę zachować raczył. Przyjął je z największą uprzejmością i zmusił mię, chociażem najmocniéj się wzbraniał, do przyjęcia w nagrodę pracy mojéj, dość znaczną kwotę na drogę. Wkrótce wydarzyła się sposobność jechania do Lindau, zkąd miałem pocztą w dalszą puścić się podróż. Wyznać tu muszę, iż z większém rozczuleniem rozstałem się z moim dobroczyńcą, aniżeli niegdyś z moją rodziną! Raz go jeszcze w życiu mojém lat wiele poźniéj widziałem, i miałem tę słodką sposobność ponowić mu nigdy niezapomnianą wdzięczność moję; był jeszcze czérstwego zdrowia i wesołego humoru; oby go Bóg jak najdłużéj w tym stanie zachować raczył. Zasłużył on na to!

Do Lindau jednakże wprost jechać nie mógłem, wprzód musiałem kilka mil drogi wodą płynąć, i właśnie wtedy, kiedym już z jeziora do brzegu przybył, zdarzenie chciało, abym ratował życie chłopcu, który w oczach moich był w wodę wleciał. Miałem ten przypadek za szczęśliwą wróżbę. Chłopiec ten był Francuz, który, widząc się przeze mnie uratowanym, prosił mię ze łzami, abym go do jego matki na pocztę do Lindau zaprowadził. Łatwo się domyśléć, jak byłem od matki przyjęty. Nazywała mię wybawcą i aniołem stróżem swego dziécięcia. Mocno mię to cieszyło, że bawiąc w domu pułkownika, częścią z książek, częścią od ogrodnika Francuza, tylem się przecież po francuzku nauczył, żem z nią mógł rozmawiać; gdyby nie to, byłbym pozbawion tych pięknych pochwał, któremi obsypany byłem. Ledwom się cokolwiek porządniéj przebrał, i trochę odpoczął, kazała mię prosić do siebie, i teraz dopiéro, po długich i uprzejmych wdzięczności oświadczeniach, dowiedziałem się, że była żoną kapitana artylerii, któremu w wojennéj wyprawie towarzyszyła; lecz w odwrocie, dla słabości córki, w mieście Lindau pozostać musiała, a teraz, dla załatwienia interesów, do Strasburga wyjechać zamierza; zkąd się ma udać do Brestu, gdzie jéj mąż na załodze zostaje. To słowo Brest, jakby piorun, na wskróś mię przeniknąwszy, zbyt ciężko padło na piersi moje. Nieszczęśliwy brat mój stanął mi przed oczy, westchnąłem głęboko i zasępiłem czoło. Kapitanowa, spostrzegłszy tę zmianę, umiała z tak delikatną ochroną dopytywać się o przyczynę smutku mego, żem był zniewolony opowiedzieć, co już czytelnikowi wiadomo, dodałem tylko, że sobie najgoręciéj życzę, przekonać się naocznie o stanie biednego brata mego. Na te słowa oczy kapitanowéj zajaśniały radością, i bez długiego namysłu, uczyniła mi z całego serca ten wniosek, azalibym z nią do Francyi nie pojechał. Jéj nalegania miały w sobie coś tak zniewalającego, że się im trudno oprzéć było, zwłaszcza, kiedy mię swoim najlepszym przyjacielem nazywając, i to w uwagę dodała, że jéj w drodze koniecznie towarzysz jest potrzebnym, i że mąż jéj, nie tylko mi za tę grzeczność podziękuje, ale i do oswobodzenia brata mego wszelkiego starania i pośrednictwa użyć nie zaniedba. Byłem, iż tak rzekę, na drodze rozstajnéj: Po prawéj matka, ojciec i ojczyzna; po lewéj

nieszczęśliwy brat, i nadzieja uwolnienia go. Jednakże zważywszy, jak tu każda chwila była droga i nie do stracenia, poszedłem na lewą; zwłaszcza, że się do tej mojej uwagi jeszcze i szczéra uprzejmość kapitanowéj, i nadzieja protekcyi znakomitego francuzkiego oficéra, dołączała. Wsiadłem tedy z uprzejmą panią Firmin, śliczną Elizą, jéj córką, z uratowanym Alfredem, jéj synem, i z wesołą Victoire, jéj garderobianą, do karéty, i zamiast do domu, pojechałem do Strasburga.

Przyznać się muszę, że gdyśmy na ziemię francuzką wjechali, serce moje na widok francuzkich żandarmów i woltyżerów, mocno bić zaczęło; zawsze mię ta myśl trapiła, że poznanym być mogę; jednakże ta uwaga, żem w Tyrolu za utopionego był miany, że listów gończych za mną nie rozesłano, koiła trwogę moję i dodawała mi otuchy. Jak towarzysz żony francuzkiego oficéra, byłem wszędzie po lekkiém badaniu wolno przepuszczony, i po dziesięciu dniowym z Lindau odjezdzie, stanęliśmy nareszcie w Brest, mieście portowém. Kapitan Firmin, uwiadomiony o przybyciu swéj żony, wyjechał na przeciw nas. Nie będę tu opisywał radości, jakiéj doznała rodzina, gdy się na gościńcu zjechała. Czytelnik i bez tego postrzegł już zapewne, żem dziesięć dni przeskoczył, podczas których z całéj Francyi, prócz pięknych oczu pani Firmin, wcale nic więcej nie widziałem. Należy albowiem wiedzieć, że takiéj postaci, któraby w sobie tyle powabów mieściła, dotąd nawet i we śnie na widoku nie miałem. Trzeba tam było wielkiego męztwa, aby się nie zakochać. We dnie siedząc na przeciw niéj i patrząc jéj w oczy, i widząc w nich słodkie niebo, trzymałem się, ile mogłem, w karbach pozornéj obojętności; ale kiedy nadszedł wieczór, kiedym sam zostawał, i cały dzień sobie na pamięć przywodził, i niewinną, a przecież niebezpieczną grzeczność tak pięknéj i młodéj kobiéty ściśle rozważył, traciłem głowę, a nawet jednego razu — wiérsze w jéj pochwałę napisałem. Prawda, że je nazajutrz w ogień rzuciłem, ale — przecież napisane były, i byłbym się może po uszy zakochał, gdyby podróż nasza nie tak krótko-trwałą była. Ale niech będzie Bogu dzięka, wszystko się pięknie skończyło, bo ledwie tylko na kapitana spojrzałem, jużem poznał, jak wielkim głupcem byłem: Tomito oficér! twarz spaniała, spokojna, męztwem wyrazista; nos orli; gęste, czarne, w piękny kędzior włosy; posmukły wąsik, kibić jak ułana —; słowem, zbiór tego wszystkiego, co się kobiétom podoba; a dodawszy świetny uniform, złociste epolety i krzyż legii honorowéj — nie było już i co mówić; miłość moja spieszno uleciała, co też bardzo mądrze zrobiła. Byłato piérwsza, a przecież jako tako rozumna. (Dokończenie nastąpi.)

WYIMEK Z DZIEŁA

A. MARLIŃSKIEGO: RYSY KAUKAZU.

II. Ostatnia stacyja pocztowa przed Starą-Szamachą.

Diabelskie drogi — boskie widoki! Za wszystkie trudy i niebezpieczeństwa sowicie nagrodzony jestem. Przed zachodem słońca dostałem się do małéj wioski; nazwiska jéj nie pamiętam; ostatniato *mensila** przed Szamachą. Dotąd nigdzie nie widziałem jeszcze tak nędznych lepianek z gliny i ziemi: ani jednego drzewka na całém obejściu, ani żadnego ogródka przy wsi! zapewne mieszkańcy w czasie gorąca muszą się w góry chronić. W Azyi nie tak się dzieje, jak w Europie. Blizkość wielkich miast, nie zbogaca sąsiednich wiosek, ale raczéj uboży je. Potrzebuje kto konia? bierze go ze wsi. Potrzebuje *beg* albo *nasir* kury lub owcy? posyła na wieś. Chce kto użyć świéżego powietrza? udaje się na wieś. Okoliczne wioski płaciły haracz rozrywkom lub gniewowi rządzcy powiatu. Nikt nie mógł powiedzieć: Jutro pojadę za drzewem do lasu — albo córka moja będzie dziś twoją żoną. Chłop niczego nie może być pewnym, prócz kijów i podatków, dla tego też ponosi je bez miary i końca. Z tém wszystkiém, Kaukazanie wzdychają za dawnémi czasami. O ludzie, ludzie! kiedyż z terazniéjszości cieszyć się będziecie?...

Tu już w dolinie, świetną zielonością pokrytéj, giną przepaści skaliste. Z rykiem i bekiem powracały trzody z pastwiska. Gdzie niegdzie grono ludzi hałasowało i kłóciło się między sobą; ja na mojéj burce rozciągnięty paliłem spokojnie lulkę, upajając się na przemiany przyjemnym dymkiem amerykańskim,

*) *Mensila* znaczy stacyję, dom zajezdny.

i czystym wieczornym chłodem Azyi. Prawie całkiem nagie dzieci skakały koło mnie; z dala obwąchywały mię duże psy i warcząc spoglądały z pod oka na obcego sobie człowieka; a jeszcze w dalszéj odległości czerpały kobiéty wodę, i postawiwszy ją w dzbanach na głowie, do chat swoich wracały. Ten widok był obrazem biblijnéj prostoty. Tylko tu, tylko na Wschodzie pojmują się obrazy i rysy obyczajów starego testamentu. Hieroglify stają się tu literami, zagadki żyjącémi słowy.

W ćwierć godziny wszystko było w pogotowiu: Konie stały osiadłane i objuczone; byłato 7ma godzina wieczórem. »Daleko ztąd jeszcze do miasta?« — »Dałby Bóg,« odpowiedział mój *czapar*, »abyście z nocą zajechali do krainy jedwabiu, i do tego miasta, które w naszych pieśniach i powieściach tyle jest sławne, że ani cesarz cesarzów, ani król królów, ani Jan syn kupca, nie odważyliby się dosiąść konia, któryby nié miał na sobie czerkaskiego siodła i uzdy z szamachickiego jedwabiu.«

Przyprowadzono dobre rumaki — dobre jedynie dla tego, że nie kąsają. Noga w strzemię, nahajka do ręki — i daléj naprzód pod stromę, bardzo wysoką górę. Dostawszy się na sam wierzchołek i jadąc po topniejącym śniegu, żegnam się ze słońcem, które zachodzi za czarnémi górami Karabaszów. Zniknęło ono, jak znika pasza za nieprzestępnémi bramami swojéj warowni, w gronie jańczarów — zniknęło w złotych i purpurą olśnionych chmurach. Zaiste, nie do opisania jest spaniałość zmroku w téj okolicy! Jadę daléj, a zawsze pod górę. Droga zda się nie mieć końca, a koń mój w dodatek zapada co chwila w bagnie i śniegu. Gdyby nie gruba mgła, możnaby już było wiele razy widzieć zbliżającą się Szamachę. Tylko kiedy niekiedy smutny księżyc przez nią pozierał.

»Słuchajno *czapar*! czy nié ma tu rozbójników?« — »Rozbójników? teraz? O, teraz o nich ani słychu! Będzie temu miesiąc i dłużéj, jak tu nikogo nie zabito.«

Tu zarazem wyżeł mój zaszczekał, zaczął grzebać ziemię i biegać wprzód i wzad niespokojnie; uwagę jego ściągnął na siebie *kurhan* (mogiła), który księżyc z za chmur wychodzący oświécił i na którym...

Jestto zwyczajem w całym łańcuchu gór Kaukazkich, iż wystawiają pewien rodzaj altanki na mogiłach *szeików* i wszystkich pobożnych muzułmanów. Często czynią to ku pamiątce osób, które pomarły w Mecce, lub na obcéj ziemi na polu bitew. Każdy z przejeżdzających odrywa jakąś część ze swojéj sukni, zawiesza na osobnéj do tego przeznaczonéj gałęzi, modli się za duszę niebo-szczyka, i prosi nieba o podróż pomyślną.*)

Na kurhanie, który miałem przed sobą, nie było takowéj altany, tylko leżał tam głaz nieobrobiony, na nim siedział kościotrup człowieczy, w którego zębach świécił srébrny pieniążek. Drészcz mię przejęła na to zjawisko. Na krzyk mój przybiegł *czapar*, spojrzał na kościotrupa, i pobladł jak chusta. »Allach! Allach! na jakież przeklęte dostaliśmy się miejsce!... Miałem zamiar unikać tego spotkania ile możności, a przecież nas tu coś zaniosło. *Ago!* ten przypadek nie jest bez znaczenia! *ago*, rzućmy jaki płatek od sukni na ofiarę, i zmykajmy ztąd, co tchu. Allach! zmiłuj się nad nami!« Co rzekłszy mój *czapar* rzucił kawał szaty w ofierze i odbiegł ode mnie daleko. Przestrach zasiadł jego oblicze, gdym go dopędził. Nieustannie poganiając konia, oglądał się bojaźliwie na około siebie.

»Słuchaj *czapar*, kto tam pogrzebany na tym kurhanie? dla czego przeciw wszystkim obyczajom prawowiernych, kościotrup leży na grobowym kamieniu?«

»Wielki tam grzésznik leży i wielkie przekleństwo cięży na oném miejscu...« Jechaliśmy powoli, a mój *czapar* opowiadał mi długą historyją o pewnym złoczyńcy, którego duszy nawet i piekło przyjąć nie chciało, i którego głowę wyrzuciła ziemia.

»Kto idzie!« zawołała straż, stojąca przy wjezdzie do Szamachy. Zdziwiony, przetarłem oczy. Jakże prędko ujrzałem się przed bramami Szamachy, i jak nie w porę dla mnie! Z tém wszystkiém nie było co począć, jak tylko odpowiedzieć: Żołniérz! — »Nazwisko?« — Alexander Marliński. — »Proszę o paszport.«

*) Słyszałem między ludem ruskim, iż przejeżdzając koło mogiły lub krzyża przy drodze, obowiązkiem jest rzucić lub nitkę odzienia, lub garść siana z wozu, inaczéj zły duch, a raczéj pokutujący duch samobójcy, nie omieszka go obłąkać i zaprowadzić na błota, lub nad przepaść jaką.
(Przyp. tłum.)

Statystyczny opis Lwowa. Ta stolica Galicyi zawiéra 2,480 po większéj części w dobrym stylu zbudowanych domów, i 48,731 mieszkańców, podług konskrypcyi z r. 1834 (nie licząc w to przybyłych i załogi); między temi znajduje się 25,133 osób płci żeńskiéj, a 23,598 płci męzkiéj. Duchownych jest 172, szlachty 867, urzędników 1,100, rękodzielników, artystów, uczniów i w miejscu urodzonych akademików 878. Przybyłych w ogóle mieszka tu podług ostatniéj konskrypcyi z r. 1834: 6,891, z tych płci męzkiéj 3,729, żeńskiéj 2,797; cudzoziemców męzkich 341, żeńskich 24. Załoga wynosi w przecięciu 6,000 żołnierza. Najmniejsza liczba niekonskrybowanych dochodzi 4,000. Podług tego wyrachowania cała ludność przy końcu r. 1834, podług podań urzędowych składała się z 66,622 dusz. Miasto dobrze jest wybrukowane, ma piękne przechadzki, szerokie czyste i oświecone ulice. Lwów jest siedliskiem krajowego rządu, sądu apelacyjnego i kryminalnego, jeneralnej wojskowéj komendy, sądu szlacheckiego dla 6 obwodów, 3 arcybiskupów, ewanielickiéj superintendentury i najstarszego rabinatu. Znajduje się tu uniwersytet, który w roku szkolnym 1835 liczy 1,350 uczących się (nie zaś 200, jak donosiło najtańsze *Panorama des Universums*, wydawane przez prof. Gerle w Pradze). W r. 1815, gdy ten zakład był na stopie liceum, uczęszczało tylko 604, a w r. 1819 gdy został uniwersytetem 827 uczących się. Przy uniwersytecie jest biblijoteka ze 45,000 tomów, zbiór monet do 10,000 sztuk, bogate muzeum fizyczne i anatomiczne, przytém i gabinet naturalny. Oprócz téj biblijoteki znajduje się tu zakład narodowy imienia Ossolińskich, gdzie liczą 45,000 tomów, 1,200 rękopisów, 15,000 sztuk monet i medalów, 2,000 rycin, 300 obrazów, z wielkim zbiorem listów, starożytności, pamiątek i t. d. Do téj liczby należy 1 stanowa akademija, w któréj uczą języka włoskiego i francuzkiego, rysunków, sztuki fechtowania, jeżdzenia konno i tańców; także realna akademija, 1 szkoła położnicza, główna szkoła wzorowa *(Musterhauptschule)*, 2 główne, 4 dla dziewcząt i 5 parafijalnych szkółek, 2 seminaryja, 2 gymnazyja, instytut głuchoniemych, zakład dla sierot. Od roku szkolnego 1830, co nie wszystkim wiadomo, zaprowadzono tu wydział filozoficzny i teologiczny dla zakonników całéj Galicyi. Znajduje się tu 1 publiczny szpital, 1 szpital sióstr miłosierdzia, 1 wojskowy, 1 izraelicki, 1 szpital dla kalek i 1 dom pracy. Miasto ma najpiękniejszy może w całém Państwie Austryjackiém ratusz, 23 kościoły, 9 klasztorów, 1 luterski kościół, 1 grecko-dysunicki dom modlitwy i 2 główne synagogi. Fabryk Lwów nie posiada żadnych, oprócz jednéj fabryki cukru, we wsi Krzywczyce o pół mili ode Lwowa. *(Mnem.)*

Zmarły xiążę August Leuchtenberg był jednym z najbogatszych w Europie właścicieli. Czysty jego dochod z dóbr w Państwie Rzymskiém i Bawaryi, wynosił do 60,000 ft. sz. rocznie, a nadto otrzymywał jeszcze summę daleko znaczniejszą z procentu od ogromnych kapitałów, ulokowanych po rozmaitych krajach, które ojciec jego, Eugenijusz Beauharnais, uzbierał był podczas nieletności syna swojego. Zostawuje on po sobie cztery siostry i jednego brata.

Londyńskie azyjatyckie towarzystwo otrzymało nakoniec exemplarz słownika języka tybetańskiego, ułożonego przez Węgra Csomo de Körös, w darze od towarzystwa azyjatyckiego w Bengalu. Wyborne to dzieło wytłoczone zostało u missyjonarzów w Kalkucie i policzyć się może do pysznych wydań.

Leczenie na oczy przez obywatela petersburskiego Abresznikow, ciągle przynosi najpomyślniejsze skutki. Uzdrawia on nawet czarną kataraktę, jednakże sam wyznaje, że nie każda operacyja udaje się pomyślnie, szczególniéj, kiedy ciało bardzo jest osłabione nie mniéj organizm zbyt cierpiący. Środki, używane przez niego są: kwas siarczany i merkuryjusz, o których skuteczności najgodniejsze wiary udowodniają świadectwa. Nie zapuszcza się on w listowanie z cierpiącymi, albowiem na saméj osobie leczenie odbywać musi.

Rogi zwierzętom domowym wcale są niepotrzebne. Łatwo jest otrzymać rasy bydła i owiec bez rogów. Wychowujący bydło nie wiedzą, że rogi tworzą się na koszt innych ważniejszych części ciała. Czaszka tryka z rogami ważyła sześć razy więcéj, niż tego, który ich nie posiadał. Z pokarmu, który zwierzę spożywa, wywięzują się wszystkie części jego ciała: i tak zwierze bez rogów, z danéj ilości pokarmu, więcéj wyda mięsa, łoju, wełny i t. p. niźli obdarzone rogami; o czém już przekonały doświadczenia porównawcze. Prócz tego rogi zwierząt w stanie domowym, stają się wiele przypadków przyczyną. (Tyg. Tech.)

Doświadczono, iż gdy się psu w samym czterdziestym dniu, od dnia urodzenia, utnie w końcu odrobinę ogona, nigdy się już nie wściecze, choćby nawet kiedykolwiek, przez innego wściekłego psa został pokąsanym.

Temi dniami przedano w Paryżu za 18,000 frank. dom wielką wartość mający pod względem pamiątek historycznych: Mieszkali bowiem w nim: Anna z Bretanii; małżonka Karola VIII., a poźniéj Ludwik XII. był tam także klasztor minorytów, założony przez Fran. de Paula.

Dzieło »Przypomnienia ze Wschodu« przez Alfonsa Lamartina wyszło nakoniec w Paryżu (lubo pierwéj w Bruxelli zjawił się przedruk, nim w Paryżu wyszedł sam oryginał); cały świat uczony paryzki zajmuje się tém znakomitém zjawiskiem, którego zalety, podług dzienników, przechodzą wszystkie rozgłoszone pochwały. Dzieło to składa się ze 4ch tomów w 8ce, ozdobnie wydane, z wizerunkiem poety. Znajduje się przytém dziele domieszczona tabela z wymienieniem nazw wszystkich arabskich pokoleń i ich naczelników, liczby namiotów, i mieści mniéj więcéj wyrachowaną ludność; a w końcu kartę podróży miejsc, zwiedzanych przez Lamartina. Cena dzieła u Gosselina wynosi 30 franków.

U księgarza Perrotin wyszło wydanie dzieł Berangera, w 4ch tomach z 104 rycinami na stali, rylca najznakomitszych paryzkich rytowników, wraz z *facsimilem* pisma ręki Berangera.

Paryzki krawiec F. A. Barde wydał: *Traité encyclopédique de l'art du tailleur*, z 150 rycinami. Pewien dziennikarz nazwał to dziełko: *une sorte d'epopée didactique sur l'art de s'habiller* (rodzaj epopei dydaktycznej o sztuce ubierania się). W rzeczy saméj ten *tailleur-poete* bardzo filozoficznie rozwija swoje dziełko; albowiem w pierwszéj księdze rozbiera on ubior w pojedyńczych rozdziałach w stosunku do ukształcenia, obyczajów, sztuki, doskonałości, rękodzieł i mody; co zakończa następującą myślą: Pospolity człowiek ubiera się; człowiek światowy umie się ubrać; głupiec jest niewolnikiem mody; roztropny zdaje na krawca, aby go ubrał. — Najsławniejszy i najposzukiwańszy krawiec w Paryżu nazywa się Humann; dzienniki przepełnione są jego pochwałami.

PP. Eder i Gaugain w Rouen sporządzili fortepian bez drzewa, tylko z samego kruszcu, który w piękności, mocy i trwałości tonów, wszystkie instrumenta tego rodzaju ma przewyższać. Towarzystwo emulacyi *(Société d'Emulation)* w Rouen wynalazcom przyznało złoty medal.

Martin, sławny poskromiciel lwów, znajduje się teraz w Besançon. Nie dawno w czasie przedstawienia, lew Nero okazał niezwyczajny upor, i na rozkaz pana, nie chciał do klatki powrócić. Martin użył batożka, lecz lew nie ruszył się i mruczał coraz groźniéj, im silniejsze były razy. Nakoniec tak dalece zdawał się być rozdrażniony, że gotów był rzucić się na swego pana. Wszystko w największéj zostawało trwodze; kobiety jedne

zakrywały sobie oczy, drugie już chciały uciekać. Jednak Martin poskromił swego wychowańca i zmusił go do posłuszeństwa. Z tego powodu przypominamy sobie zakład przed kilką latami uczyniony przez pewnego lorda z panem Martin. Z prawdziwą angielską flegmą rzekł do niego lord: »Zakładam się, że przed miesiącem kwietnia r. 1835 zostaniesz pożarty przez dzikie zwierzęta. Idzie 100,000 franków.« Martin przyjął zakład, i wygra go teraz.

Antoni Moede, dowodził małym okręcikiem osadzonym 110 ludźmi, pełnymi zapału i odwagi. Płynąc raz spotkał okręt angielski z bogatym ładunkiem, przeznaczonym do Jamaiki. Uderzyć i wziąć ten okręt było to dziełem jednéj chwili dla zuchwałych korsarzy. Osada składała się z podróżnych obojéj płci, którą wraz z rzeczami przeniesiono na pokład korsarskiego kapru. Nazajutrz Moede spostrzega bryg wojenny angielski — przychodzi mu na myśl przebrać swoich ludzi w stroje kobiet zabranych. W jednéj chwili pokazało się 50 dam na pokładzie, ukrywających płeć ogorzałą za wachlarzami. Zamiarem korsarza było ujść tym sposobem zaczepki. Lecz inaczéj się stało. Okręt angielski, zbliżywszy się na strzał działowy, posłał mu całą bateryję wystrzałów. Tu Antoni widząc, że ujść nie zdoła, krzyknął na swoich, czy mają ochotę wpaść na pokład? »Na pokład! na pokład!« krzyknęły amazonki, odrzucając wachlarze, i wpadając ze sztyletami i pistoletami na pomost angielskiego brygu. W pół godziny krwią się oblał okręt nieprzyjacielski, osada poddała się. Moede ze świeżą zdobyczą zawinął do Point à Pitre z swojémi korsarzami, którzy nie mieli jeszcze czasu pozbyć się strojów kobiecych. »Nigdy!« zawołał Antoni, »nigdy w czepku i spodnicy nikt się lepiéj nie popisał!« Tenże sam korsarz wystrzelawszy w innéj potyczce wszystkie kartacze, a mając spory zapas prochu, uciekł się do goździ; a w końcu i do kamieni, składających balast; lecz gdy mu i tego zabrakło, wtedy zawołał jakby natchniony: »W kajucie u mnie stoi dwie beczki piastrów — nabić działa piastrami!« — »Kapitanie, wszakżeto twoje pieniądze!« zawołał podrzędny oficér. »Nic to przyjacielu, dam je tym sposobem na procent... Ognia! daléj na pokład!« i po chwili okręt był w jego mocy.

Za przykład niezmiernego żarłoctwa psa morskiego *(haj)* przytaczają to zdarzenie, iż przy wyspie S. Heleny w żołądku téj ryby znaleziono całego artylerzystę w mundurze i z bronią przy boku.

Przed pałacem deputowanych w Madrycie przysposobiają miejsce, na którém ma być wzniesiony pomnik Cervantesa (w Rzymie odlewają posąg). Skoro to dzieło stanie, mają podobny pomnik wystawić sławnemu patryjocie Juanowi de Padilla przed pałacem akademii hiszpańskiéj.

Mis Margareth Mac-Avoy, Angielka, utraciła przed kilką miesiącami wzrok; lecz natomiast znalazł się u niéj, tak mówiąc, szósty zmysł, gdy za pomocą końców u palców najdziwniéj przedmioty rozpoznaje. Dr. Renwich, który ją leczy, potwierdził prawdę następnych doświadczeń w przytomności wielu świadków: Mis Mac-Avoy czyta wszystkie książki, powodząc lekko wskazującym palcem po literach i wierszach. Lekarz, który chcąc zapobiedź wszelkiemu oszukaństwu, odmieniał książki, zakrywał jéj oczy, z tém wszystkiém ciemna czytała z największą łatwością. Oprócz tego rozróżnia ona kolory; jaśniejsze jednak łatwiéj niż ciemne; zapewnia przytém, że za dotknięciem kolorów uczuwa lekkie wzruszenie po całém ciele; palce jéj drgają, a kolor czarny dreszczą ją nabawia. Mówi, że jeżeli materyja jest różnowzorna, natenczas poznaje kolor po glancu i blasku, i dokładnie wskazuje palcem jak idzie rysunek na materyi. Umieściwszy zaś jakie ciało między jéj ustami, nosem i końcami palców, natenczas trudniéj poznać jéj przychodzi, tak, że się zdaje, jakoby zapach i oddzielanie pomagało téj nowéj zdolności. Zna wszystkie osoby, które ją nawiedzają, po chodzie i oddechaniu, a jeżeli kto odchodząc żegna się na migi, ona to czuje przez ściśnienie powietrza, które jéj, jak powiada, objętość ciała oznacza. Strętwienie z zimna odbiera jéj rękom ów delikatny zmysł, który za ogrzaniem znowu wraca. Postawiono przed nią butelkę z wodą, a drugą ze spirytusem; poznała przez dotknięcie, że obie są bez koloru, z tą jednakże uwagą, że w jednéj jest płyn mocny, albowiem końce jéj palców uczuły gorąco. Prowadząc palcami, po szkiełku zegarka, powiada najdokładniéj godziny, a nawet minuty.

Dziwne posiadali w czasach dawniejszych przywileje angielscy urzędnicy koronni. Każdy z nich coroku, oprócz niektórych znoszonych sukień z królewskiéj garderoby, otrzymał od króla i od królowéj po kawałku płótna i materyi wełnianéj. Królewski ubior myśliwski co roku trzy razy dostawał się wielkiemu łowczemu; strój na konia, ostrogi i t. d. otrzymywał wielki koniuszy, a wielki szambelan przywłaszczał sobie resztę starych sukień i pościel.

Dwa konie arabskie, które cesarz marokański jenerałowi Jakson posłał w darze, nie dawno zostały w Washingtonie, jeden za 1205 dolarów (2400 złr.), drugi za 860 dolar. (1719 złr.) na publicznym targu sprzedane; gdyż prezydentowi nie wolno przyjmować żadnych podarunków od dworów zagranicznych.

Pewien paniczyk modnego wychowania, który mało umiejąc, a przecież zawsze z swoją lichą francuzczyzną na plac wyjeżdżał, gdy się go pytano, gdzie brał nauki, dał się słyszeć następną odpowiedzią: *»J'ai été un âne à Gottingue et encore en âne à Leipsic.«*

Mody. Najnowsze stroje damskie są: Szale barbaryjskie, lub tak zwane egipskie, z saméj wełny, miękkie i powabne dla oka. Szlafroki bywają ze szkockiego *gros-de-Naples*, lilija i białego, lub zielonego i białego. — Kapelusze mężkie są z wypukłémi denkami, podobne kształtem do ulów. U nowych fraków z jednéj części są stan i skrzydła, które bez wcięcia u bioder coraz bardziéj się zwężają, aż do samych kolan. Mankietów nie widać u elegantów. — Suknia z *gros-d'Ecosse*, płaszczek *(mantelet)* z czarnych blondyn, kapelusz ryżowy z kwiatami, do najmodniejszego należą stroju. Letnie suknie są z wielkiémi białémi pelerynami z indyjskiego muszlinu, organdyny, z haftem i pięknym krojem. Peleryny te naśladują szale; z ramion spadają bez fałdów, obszywają się trzema rzędami marszczonego tiulu; co czyni ubior bardzo eleganckim. Chustki do nosa najświeższéj mody nazywają się *à rivière*, bez obrąbku, obszyte koronkami *à jour*, szerokości pół cala.

SZARADA.

Piérwsze w chłodzie.
Nadtoć chłodu?
Wleź na drugi.
Mężem całe
Już za młodu,
Gdy w narodzie
Ma zasługi;
To rzecz główna!
Lecz jeźli skrycie
Wlezie za drugi,
I tak zgnuśniałe
Prowadzi życie:
Babie się równa,
Nigdy kobiécie.

J. B.

Znaczenie szarady w przeszł. Nr. Rozm: Biesiada.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.